



Mały przegląd

piśmo dzieci i młodzieży

wychodzi co piątek rano z korespondencje i material kierowac nalezy do redakcji „małego przeglądu” nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 148 (8478) NASZEGO PRZEGLĄDU

MARZĄ-PRAGNĄ

(Wyjątki z prac konkursowych na temat pierwszy „Gdyby“)

POKÓJ WSZĘDZIE I NA ZAWSZE.

...Ja już nie mogę czytać gazet. Wciąż te same okrutne tytuły: „Krwawe walki w Hiszpanii“, „Walki w Chinach“, „80 ofiar bombardowania Barcelony“, „Pięciu chalcuców zabitych w Palestynie“, „Wielkie zbrojenia Anglii“...

Nieraz ciskam gazetę na ziemię i marzę o czasach, kiedy zapanuje pokój — w Palestynie, Hiszpanii, Chinach — wszędzie i na zawsze.

BOLEK z Nowolipiek.

DOBRY GAZ.

„... gazy dzielimy na duszące, żrące - parzące i trujące. Wszystkie gazy należą do brońi chemicznej“...

Odkładam książkę i marzę. A gdybym wynalazł gaz, któryby działał na rozum i uczucia ludzkie?

Chodziłbym po świecie i rozpylał pokryjomu mój dobry gaz. Cieszyłbym się, patrząc:

człowiek zrozpaczony nie popełnił samobójstwa;
zbrodniarz się poprawił;
krzywdziciel spać nie może, myśli, jakby naprawił krzywdę;
politycy wojny nie znoszą;
cała bieda została wytruta...

JERZY W.

BEDE LEKARKA.

Było to w roku 1936. Dostałam zapalenia ucha. Na drugi dzień, kiedy nasza szkoła wyświetlała film z Shirleyką p. t. „Roześmiane oczy“, pojechałam do szpitala.

Siostra wprowadziła mnie na salę operacyjną. Potem, gdy czułam się lepiej, pomagałam siostrze. Z wielkim zapałem wykonywałam każdą pracę. Raz nawet nie zauważyłam, jak przy mnie stanął jeden z asystentów. Cieszyłam się bardzo, kiedy siostra prosiła mnie o pomoc.

Tak kochałam pracę lekarską. Całymi dniami marzę, aby leczyć dzieci.

LUSIA z Pawiej.

LINE I KOLORY.

Gdy miałam cztery lata, kupiono mi komplet kredek. Rysowałam wtedy lale o dużych głowach, w długich paltach ozdobionych guzikami. Wtedy już wiedziałam, jak się nazywają kolory. Koleżanki moje dziwiły się i pytały z zaciekawieniem:

— Jaki to kolor? Jak się ta kredka nazywa?

I tak już zostało: kocham kolory i wciąż maluję.

Rodzice mówią, abym tyle o tym nie myślała, bo to tylko ładnie brzmi: „artysta malarz“, ale nie się nie zarabia.

DORA.

KLUCZ SZCZĘŚCIA.

Gdy będę kiedyś na wsi, chcę znaleźć w lesie jezioro z ruinami

starego zamku na wysepce. Nie bałabym się zejść do lochów zamczyska. Marzenie wymaga, aby były tam wina, zbroje i pochowane w szkatułkach klejnoty. Nie ruszyłabym ich, bo nie tego szukam.

Chciałabym podczas wędrowki po zamku napotkać staruszkę, który powierzyłby mi tajemnicę ruin i podarował klucz od wrót Szczęścia.

Chodziłabym po zamku, szukając szczęścia przez całe dni, a może i lata, aż w końcu znalazłabym je.

RYSIA z Kalisza

DO HOLLYWOOD.

Pragnę zostać gwiazdą. Mamusia mówi, że jestem za młoda. Przecież Shirleyka także jest młoda. Przebieram się w długie suknie, układam film i gram, gdy nikogo nie ma w domu.

Mam swoją sympatię: Nelsona Eddy; zbieram jego fotografie i chcę wyjechać do Hollywood.

R. M. z Białegostoku.

STYPENDIUM.

Myślicie może, że chcę być czarodziejem albo królewicem? Może myślicie, że pragnę bogactwa albo sławy?

Nie, ja tylko kształcić się pragnę. Tylko o to proszę, aby mnie za rok nie posłali do terminu, żebyśmy dostali stypendium w szkole średniej.

DAWID K.

UCZYĆ SIĘ W ŻYDOWSKIM GIMNAZJUM.

Mieszkam w małym prowincjonalnym miasteczku, w którym nie ma żydowskich średnich szkół ani nawet szkoły powszechnej.

Podczas przerw uczniowie omawiają plany bitych z Żydami, a gdy wychodzimy ze szkoły, lecą w naszą stronę śruby na sznurkach. Zdarza się nieraz, że katolik lub ewangelik czyni coś dobrego dla Żyda, wtedy odzywają się głosy: „Żydowi“?

Niekiedy czuję żal do rodziców, dlaczego w tej małej dziurze nie przygotowali mnie od razu do wyższego oddziału, żeby skrócić mój pobyt w tej szkole.

Mama z tatą rozmawiają często na ten temat: „trzeba pomyśleć, dokąd go wysłać, bo rok szybko przeminie“. Krewni nasi z Warszawy w listach proponują rodzicom, żeby wysłali mnie do nich.

Jestem już w piątym oddziale. Mam nadzieję, że za rok ziszczą się moje marzenia — będę się uczył w gimnazjum żydowskim.

BENIAMIN z Izbicy Kujws.

ŻEBY RODZICE BYLI ZDROWI.

Ojciec od kilku miesięcy leży

chory. Jeden Pan Bóg wie, jak ja cierpię. Mama nie od dzisiaj choruje: choruje już długie lata, ale w porównaniu z ojcem mama jest zdrowa. Nie tylko śmiać się, ale nawet głośno mówić nie mogę. Czasami mija pięć dni, że nie wychodzę z domu, a jeżeli schodzę, to albo do apteki albo do składu aptecznego.

Gdyby rodzice moi byli zdrowi, byłabym najszczęśliwszą na świecie.

FELA DELEWKOWICZ.

ŻEBY UBEZPIECZALNIA BYŁA SPOŁECZNA.

20 kwietnia poczułam ból w gardle. Poszłam do lekarza Ubezpieczalni Społecznej. Lekarz zobaczył, że rośnie mi kulka na szyji. Posłał mnie do chirurga. Chirurg zbadał, posłał z powrotem do tego samego lekarza z kartką, jak ma leczyć. Ten o niczym nie wiedział. Tymczasem ja nie mogłam spać ani jeść. Poszłam znów do chirurga. Dano mi 19-ty numer. Czekałam, czekałam, w końcu chirurg wyszedł w palcie — już po przyjęciu. Nie chciał ze mną mówić na schodach.

Nazajutrz z gorączką 38 stopni poszłam do lekarza rejonowego, ten posłał mnie do naczelnego, ale naczelnym mnie wyprawił i nie posłał do szpitala.

O, gdyby Ubezpieczalnia Społeczna miała dobrych lekarzy i dobre lekarstwa! Gdyby tam chorych przyjmowali szybko, uprzejmie, troskliwie. Gdyby Ubezpieczalnia była naprawdę społeczna!

SARA z Czerniakowskiej

O DROGĘ ŻYCIA.

Gdyby wtedy pan redaktor nie był zajęty, Lejzor nie powiedziałby stanowczo: w następną niedzielę. I jaby nie odeszła ze łzami w oczach i smutkiem w duszy. I może wtedy, gdybym wszystko opowiedziała, znalazłaby się dobra rada.

...Może to i lepiej, bo gdy rozmawiam, dziwnie mnie za gardło ścisną, rozczułam się nad własnym losem. Nie znalazłam jeszcze drogi, jaką mam iść przez życie.

ESTUSIA ze Stawek

DO SZKOŁY.

Straciłam rok szkolny. Byłam niebezpiecznie chora. Nie widywałam nikogo z naszej klasy, czytać nie wolno mi jeszcze dzisiaj.

Mieszkam w małym miasteczku na Pomorzu. Nie mam przyjaciółek ani żadnego zajęcia (nawet robotki są zabronione).

Oby minął już okres rekonwalescencji, żeby się rozpoczęło miłe życie szkolne.

HELGA GUTGOLD (Kcynia na Pomorzu).

GDYBYM MIAŁA MŁODSZĄ SIOSTRĘ.

Byłoby nas w domu troje, bo mam 17-letniego brata. Tyle byłoby śmiechu i figlów. Po lekcjach szlabym z nią na spacer. A gdy skończyłaby sześć lat, przygotowałabym ją do pierwszego oddziału. Do szkoły chodziłaby tej samej co ja. A że byłabym już w gimnazjum, schodziłabym (u nas gimnazjum mieści się nad powszechną) i pytałabym, co słychać. Przed koleżankami chwaliłabym się, że mam taką ładną i mądrą siostrę (moja siostra musi być mądra i ładna). W domu bym się nią opiekowała, kładła spać i pomagała we wszystkim.

HANIA z Wroniej.

WŁASNE AUTO.

Staję do konkursu, bo zbieram pieniądze na auto.

Na ulicy zawsze oglądam samochody. Najbardziej podoba mi się maszyny firmy „Chewrolet“.

Pewnego razu widziałem, jak szofer czyścił takie auto. Zauważyłem, że wewnątrz jest wysłane czerwonym zamsem i ma motor spiczasty. Jestem znawcą aut, rozpoznaję każdą markę.

Gdybym miał auto, prowadziłbym je najpierw z Warszawy do Gdyni, a potem w góry. W ogóle jużbym wiedział, dokąd pojechać — dajcie mi tylko samochód.

SAMEK M.

W GÓRY.

Wiele czytałam o górach, o pięknych lasach i łąkach górskich, zwanych halami, na których pasą się stada owiec pod opieką juhasa. Z gór biorą początek różne rzeki, m. in. Wisła. Słyszałam też, że góry kryją w sobie bogactwa mineralne... Gdybym mogła to wszystko zobaczyć!

B. TENENBAUM.

GDYBY...

W czarnej ciszy pokoju ikają boleśnie a słodko skrzypce. Przez czarną ciszę pokoju przysłycha głuche „bum“: to zegar bije godziny.

Rozsiadły się na liściach oleandru wróżki. Rozsunęły złote nici po ciemnym pokoju. Już zegar umilkł. Gorąco i rzewnie skarżą się skrzypce.

Ogarnia mnie tęsknota. Wróżki, co ciche szeptały zaklęcia, schowały się w czarny ką. Bo znów jęknął zegar. Bo teczka spadła miękko na ziemię. Kosmate licho kiwnęło łapką, z pomiędzy liści. Marzenia — chmura błękitnych skrzydlatych istotek — spłoszyły się i rozwiały lekko.

...Aż cisza rozsunęła się nad

W DALEKIE KRAJE.

Szare, monotonne życie ucznia. Codzienne wkuwanie lekcji codzienne aż do znużenia siedzenie w szkole... A potem? Co czeka mnie po szkole? Codzienne wystawianie przed redakcją, szukanie pracy w dziale: „posady zaofiarowane“. W najlepszym razie tak samo szare, monotonne życie biuralisty albo praktykanta.

Dalekie kraje nęcą i kuszą. Serce podpowiada: „idź... idź... w nieznaną... A rozum sztydzi: Dokąd pójdziesz? Z czym pójdziesz?“

HENIEK z Łodzi.

PRAWDA I PIĘKNO.

...Mogę tylko marzyć, że w książkach bibliotecznych, na które teraz patrzę, jest zawsze to, do czego wszyscy dążą, czego wszyscy szukają i o czym wszyscy marzą.

SONIA KOCHAŃSKA (Łódź)

O MARZENIU W OGÓLE.

...Życie składa się naprzemiennie z porażek i zwycięstw. Jedne marzenia spełniają się drugie pozostają na zawsze „nieuchwytnym ideałem“. Czy to powinno nas zrażać? Przeciwnie! Człowiek musi wiecznie pragnąć i szukać, zdobywać i marzyć. Ustanie działalność, pograżenie się w szczęściu i zadowoleniu z osiągniętych korzyści — to zaprzeczenie życia, śmierć... Marzenie jest i być powinno motorem życia doskonałego się i zdążającego wzwyż. Winniśmy powoli i stopniowo iść drogą urzeczywistnienia pragnień pamiętając o tym, by nigdy nie zadawałnic się istniejącym, lecz by ciągle walczyć i zdobywać.

Niech upragnione „gdyby“... nie przystania rzeczywistości, lecz dodaje chęci i mocy wytrwania w pogoni za wymykającym się ciągle marzeniem.

B. L.

teczką. Aż znowu rozlały się przez czarność ikające słodkie dźwięki. Więc wróżki wróciły na liście oleandru i znowu rozsunęły złociste nici.

Widzę morze: rozlewa się szerokie, ciężkie a łagodne.

Do portu, kołyszac się z lekka płynie okręt. A na pokładzie stoję ja. I wiem tylko tyle, że jadę do mojego wymarzonego Erec. I wiem tylko tyle, że oglądam i morze i słońce tej ziemi, że wchłaniam wiatr od lądu.

I to jest szczęście. Już widzę z daleka biały piach wybrzeży. Już brnę w nim po kostki. Już pływam w morzu, unoszona miękko zielono - szarymi fala-

(Dokończenie na str. nast.)

To, czego najsilniej pragnę

W pokoju panuje półmrok. Wszystko przygotowane na stole do sederu: maca, wino morod. Świece jeszcze nie są zapalone. Mama krząta się w kuchni. Brat Jerzyk, który dziś przyjechał z Warszawy, gdzie uczy się na uniwersytecie, poszedł z tatusiem do bóżnicy. Jego przyjazd był niecierpliwie oczekiwany przez nas. Brat źle wygląda, stracił swój humor, którym się zawsze odznaczał. Jest bledy, przygnębiony i mało mówi. Na pytanie matki: „jak idzie nauka?“, krótko odpowiedział: „nieźle“.

— To tak zawsze będziecie stali podczas wykładów? — pyta mamusia.

Dziwną naturę ma Jerzyk: nie lubi, jak go mamusia rozpytuje. Z ojcem chętnie dyskutuje, rozmawia po hebrajsku. Nie wszystko rozumiem. Z całej rozmowy tylko to wyniosłam, że „tak zawsze nie będzie, trzeba swoje zrobić, uczyć się pracować i wierzyć w lepszą przyszłość“.

Mamusia stała się ogromnie wrażliwa, pełna jest protestu, nie może się pogodzić ze stanem rzeczy na wyższych uczelniach.

— Czy to słyszane — mówi wciąż — żeby znieważano mojego Jerzyka tylko za to, że chce się uczyć?

Mamusia zaprzętna jest tą sprawą, chciwie czyta wszelkie wiadomości o wypadkach na wyższych uczelniach. Wystarczy najmniejsza wzmianka w gazetach o bójkach studenckich, by się załapała łzami.

— Czy po to ja go wychowałam, żeby na progu swego dojrzałego życia stał się pogardą? Mój Boże, dlaczego tak straszny kielich goryczy przetrząsnął dla mego dziecka!

Mamusi się zdaje, że brat jest codziennie wystawiany na rozmaite zniewagi. W nocy nie może spać, śni się jej okropne obrazy: to jak go bitego wypychają z sali wykładowej, to jak go wynoszą rannego z uczelni. Czasem budzi się wśród nocy z krzykiem: „Ratunku“! Ja wówczas wtulam twarz w poduszkę i dławię się łzami. Boję się, żeby mama nie usłyszała.

Przez ten rok, kiedy Jerzyk wstąpił na uniwersytet, mama okropnie osłabła. Często ponura i bleda, widzę jak okropnie cierpi. Czasami mówię do mamy:

— Napiszmy do Jerzyka, żeby przyjechał do domu. Damy mu pieniądze, pojedzie na dalsze studia do Francji. Jerzyk przecież tak lubi czytać francuskie książki — mówię, — pokazując mamie całą bibliotekę francuską Jerzyka. Zobaczy mamusia, jak on się dobrze urządzi.

A mamusia zbija radę moją kiwnięciem głowy i krótką, smutną odpowiedzią:

— Studia zagranicą. Łatwo powiedzieć... Skąd wziąć na takie wydatki.

Ale potem sama robę ojcu wyrzuty, że nie chce wysłać syna brata zagranicę. Zaczynają się spory, a potem przez cały dzień panuje w domu głuche milczenie, a ja żałuję, że poruszyłam tę sprawę. Wiem, jak ciężko ojciec pracuje, zarobek ledwo wystarcza na utrzymanie domu. Jakże tu marzyć o wystaniu Jerzyka zagranicę.

Ale to, co dziają się u nas dzisiaj, przewyższyło najsmutniejsze chwile, które mamusia przeżyła. Matce zdawało się, że zauważyła sińce pod oczami Jerzyka i wybuchła spazmatycznym płaczem. Ojciec i brat stali się ją uspokoić. Jakże to okropne! Wzdrygam się na samą myśl, co będzie po świętach,

kiedy Jerzyk będzie musiał wrócić na studia. Wolałabym przemieścić najokropniejszy ból, żeby tylko uniknąć okropnej chwili...

Teraz tatuś z Jerzykiem są w bóżnicy. Chyba tatusiowi brat opowiada o wszystkich przeżyciach. Mama wchodzi i zapala świece. Oczy ma zapłakane, szepcze cichą modlitwę. Patrzę na modlącą się mamusię i przypominam mi się modlitwa szczęśliwego Marcina Mardena, dziecka żydowskiego emigranta z Niemiec, który otrzymał schronienie w amerykańskiej szkole. Modlitwa tego dziecka rozniósł się po całym świecie. Chciałabym wśladać za Marcinem modlić się:

— Boże wielki, ześlij spokój na nasz dom. Niech zniknie smutek z twarzy matki i wszelki ból z jej serca. Uczyni, wielki Boże, żeby wszelkie zło znikło z serc ludzkich i niech człowiek człowiekowi będzie bratem, a nie wrogiem. Boże wielki, coś otaczał ojczyznę naszą przez wszystkie lata jej niewoli ojcowską opieką i wyratowałeś ją z nie woli, ześlij zbawienie i wyzwolenie. Twoje i na te dusze ludzkie, które się splamiły krzywdą wobec braci swoich. Uczyni je

zdolnymi do odczuwania dobrodziejstw wolności. Uczyni wielki Boże, żeby wszelka przemoc i krzywda znikły na zawsze z powierzchni ziemi naszej, by wszystkie jej dzieci zostały opromienione i ogrzane wielkim światłem wschodzącej w chwale Jutrzeni Ojczyzny.

Kreślę te słowa w dzienniczku i szepczę moją modlitwę, spoglądając na matkę, która stoi przed świecami, rękami sobie twarz zakrywając. I znowu myślę o Marcinie Mardenie.

Szczęśliwy chłopcze, twoja modlitwa, twoje serdeczne życzenia zostały rozpowszechnione po całej Ameryce. Pod wpływem twojej modlitwy niejednego złoczyńca zaniechał swego występku, niejedna chora dusza wyzdrowiała. Pragnę z całej duszy, żeby się znalazł w mojej ojczyźnie taki Marden polski, któryby wypowiedział ból milionów i najgorętsze życzenia wszystkich dzieci wyrażał w równie silnej i wzniosłej modlitwie, któraby moc miała potężną: zamieniła wszystkich złych ludzi na ludzi dobrej woli.

Oto, czego pragnę najsilniej.

SABINKA z Płocka.

Wszyscy razem

Mieszkam u cici w Tel - Awiwie

A rodzice moi w Polsce mieszkają

I napewno Tatko i Mama takie same marzenia mają.

To przecie tylko: „Gdyby“....

Tak sobie — na niby...

*

W Galili stoi domek, śliczna zagroda.

Biękitne całe niebo, piękna pogoda.

Domek stoi w pobliżu gór Hermonu i Lwanonu.

Ja tam w górach pasam kózki rozbawione.

Gdy kózki najadły się do syta,

Idę do domu. Na progu Mamusia mnie wita.

Tatus daje kanarkowi jeść

A kanarek mi ćwierka radosną jakąś wieść

W pokoju wesoło, miło, cicho.

Tata i Mamusia odpoczywają sobie,

A ja we własnej osobie

Biegnę do pagórka z książką.

W górach jestem bliżej nieba

Kocham góry. Tu nie trzeba

Długo szukać spokoju i mocy.

Wracam do domu. Gwiazdki migocą

Księżyc uśmiecha się szczerze

I pachną drzewka migdałowe

W mym ogrodzie śpią różyczki pąsowe

I rodzice czekają z wieczszą.

MIRIAM z Tel - Awiwu.

Srebrne skrzydła

Olbrzymi plac lotniska zapelniony publicznością. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać rozkołysany ciekawością tłum. Wszyscy wpatrują się w jeden punkt — środek placu. Pragną dojrzeć bohatera tej uroczystej chwili.

— Jeszcze 15 minut — rzuca ktoś z tłumu.

I wszyscy podają sobie z ust do ust tę wiadomość: jeszcze 15 minut, 15 minut... Cichy szmer zaciekawienia i niecierpliwości rośnie, potężnieje. Po chwili rozlegają się już okrzyki: „Wiwat! Pokażcie ją! Prędej! Kogo wołają i domagają się tak natarczywie? Oni pragną zobaczyć bohaterkę dnia — dziewczynkę w samolocie.

Kim jest ta mała, niepozorna

blondynka? Skąd się tu wzięła? O, to długa historia.

Od dzieciństwa pragnęła wyczynów i wynalazków. Książki Verne'go potem dzieła o Amundsenie, Nansenie, wyprawa Czeluski, w końcu wycieczka Piccarda — zrobiły swoje. Z początku było to pragnienie dziecka, zrodzone w wybujałej fantazji, lecz z czasem przekształciło się ono w cel życia. Wypieszczone myślą i olbrzymią pracą dzieło stało przy niej. Wielki samolot połyskiwał w słońcu srebrną powierzchnią. Jak olbrzymi srebrny ptak udzielał cienia swej twórczyni.

A ona stała promieniująca obok swego „Marzenia“. Za chwilę da mu życie, wprawi go w ruch. I w oczach tej dziewczyny

G D Y B Y...

(Dokończenie)

mi. Przecież to moje morze — morze, co oplakuje wybrzeża Erec. A po kąpieli w moim morzu jestem obywatelką Erec. I to jest także szczęście.

I już pracuję na ziemi. Razem z nimi. Z całym tłumem braci i sióstr. Teraz już jestem jedną z nich. Nie ma mego „ja“ — jest członkini kwocy. To jest miłe i dziwne.

A kiedy przyjdzie noc, stanę się znów „Anią“. Bo z nieba, które jest ogromne, większe od morza, przyjdzie do mnie mój Dziadek. I tylko powie:

— Tak jest dobrze Aniu.

Brześć.

Potem patrzmy oboje na pola, na góry na całą ziemię naszą, o której mi tyle, tyle mówię... Stoimy oboje pod niebem, które jest ogromne, większe od morza i wyskrzone srebryście. Obejmujemy wzrokiem Erec najukochańsze, wymodlone. I to jest najogromniejsze szczęście.

I w ciężkiej, znoonej pracy, kiedy upał przyniata do ziemi, słyszę Twój głos:

— Tak trzeba. Aniu!

ANIA GINCBURZANKA

Z igłą czy z książką?

Codziennie wsluchiwałam się z biciem serca w odgłosy toczonej się przy drzwiach zamkniętych rozmowy i codziennie zapadał ten sam okrutny wyrok:

— Trudno, moje dziecko, teraz są ciężkie czasy, nie możemy sobie pozwolić na kształcenie ciebie w gimnazjum.

Siostra, widząc moje zapłakane oczy, starała się mnie pocieszyć, mówiąc:

— Będziesz rok w domu (do siódmego oddziału nie wróciłabym za skarby, gdyż wszyscy wiedzieli już o moim pójściu do gimnazjum), może warunki poprawią się.

A mama, słysząc słowa siostry, dodawała:

— Lepiej rok siedzieć w domu, aniżeli chorować.

Najgorzej jednak było, gdy przychodziła jakaś kuma i wykazywała czarno na białym:

— Poco ci ta cała nauka? I tak pozostaniesz krawcową.

Dom stał się dla mnie istnym piekłem. Nie mogłam w nim usiedzieć. Czulałam żal do wszystkich.

Ważałam się po ulicach. Szłam do Rady Szkolnej, wstępowałam do różnych szkół pytając o zniżki, posyłałam drugą siostrę tam, gdzie ja nie mogłam nic wskórać. Dopytywałam się, szukałam, miałam oczy i uszy zawsze nastawione i czujne na każde słowo, mające związek ze szkołą.

I nareszcie. Po długich i ciężkich wycieczkach w ciemnych napięciu, dostałam się do szkoły, gdzie uzyskałam zniżkę.

Nowa szkoła, nowe otoczenie, nowe stosunki i wiele innych rzeczy zainteresowałyby mnie, ale teraz byłam głucha i ślepa, na wszystko. Dostałam przecież upragnioną szkołę.

Zapłacenie czesnego za pierwszy miesiąc poszło łatwo.

ny migocą srebrne blaski - odbicie jej dzieła. Ona wie, że przyjacieli nie zawiedzie jej nadziei. Po udanym próbnym locie wyruszy w daleką, zdobywcą drogę.

Tłum niecierpliw się. Nagle nastaje cisza. Młoda pilotka wstępuje na schodki. Ostatnie przestrogi otaczających ją inżynierów i lotników. Tłum szaleje. I znów czapki w górę. Odważnie, odważnie, naprzód! — krzyczą.

Lecz jej odwagi nie trzeba dodawać. Jeszcze raz uśmiecha się, jeszcze raz kiwa głową, obejmuje wzrokiem cały samolot i już poważna wchodzi do kabiny.

Maszyna drgnęła. Z początku cichy szmer. Co to? Czy maszyna nie idzie? Lecz nie, oto już rośnie, potężnieje... Warkot motoru. Burczy śmigło, prując powietrze. Jeszcze chwila, a maszyna, lekko drgnawszy, toczy się w dal. Jak srebrny ptak uniosło się w górę „Marzenie“.

Przysiałam tylko do szkoły ze spuchniętymi oczyma.

O kupnie książek nie mogło być mowy. Uczylałam się u koleżanek, pożyczylam książki u kogo się tylko dało, a dawało się bardzo rzadko. Prośba o pozyczenie książki spotykała się z wykrętnymi odpowiedziami koleżanek, pomiędzy którymi panowało takie powiedzonko: „moja mamusia nie pozwala pożyczać książek“.

Wszystko to trwało tak długo, aż zajęcie z Niemką udostępniło mi korzystanie z cudzych książek, a jej podziw na widok dobrze odrobionej lekcji i to bez książki, zjednał potrosze koleżanki.

Uczyć mi się trudno, gdyż nie mam książek. Szkołę oplacam pieniędzmi, zarobionymi z lekcji, które zajmują mi bardzo dużo czasu.

Odpowiedzi moich uczniów i uczenie pobudziłyby najbardziej melancholijne osoby do śmiechu, lecz ja staram się zachować powagę, co mi się rzadko udaje. Po takiej dobrej odpowiedzi w szkole, po każdym posunięciu, wstępuje we mnie otucha, zagrzewająca do dalszej pracy w szkole i w domu. Pracuję do późna wieczorem, aby tylko wytrwać.

Mama, widząc sine obwódki pod oczyma, mówi: — Ty się przepracowujesz, to jest ponad twoje siły. Siostra pociesza mnie: — W przyszłym roku będzie może lepiej, wówczas my będziemy płacić za szkołę.

A kumy, którym pootwieraly się głowy, prostują dawne powiedzonko słowami: — Jej bardziej do twarzy z książką, niż z igłą.

Co będzie dalej — przyszłość pokaże. Wierzę jednak niezłomie, że silna wola pomoże mi w zdobywaniu nauki.

IZABELA.

W tej chwili poczułam lekkie dotknięcie. Otwieram oczy. Koło mnie stoi moja matka.

— Spałaś?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Zdaje mi się, że nie, ale może tak. Zresztą wszystko jedno. Czuję, że przez chwilę nie było mnie w domu.

Siedzę przy oknie na krześle. Książka leży przede mną. Patrzę w niebo. Tak — to było piękne: na srebrnych skrzydłach... tam ponad chmurami, coraz wyżej, coraz dalej...

MARYSIA P.



IDZIEMY W NOWE ŻYCIE

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. O UCIECZCE ABRAMKA.

„Miałeś chamie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór
Czapkę wicher niesie
Róg hukła po lesie
Ostał ci się ino sznur...”

Abramek nie mógł nikomu patrzeć w oczy i nikt nie mógł też na niego patrzeć. Dni jego pobytu w kolektywie były policzone.

Wiedziano, że Abramek nie jest dobrym materiałem. Lepiej będzie, jeżeli wcześniej odejdzie. Nikt go jednak nie wyganiał. Szanowali jego wiedzę, jego zalety i żalowali, że ma takie słabostki. Gromada przywykła już bowiem nieco do niego. Jeśli tylko chciał, potrafił ludzi ujmować i budzić zainteresowanie. Jedną drobnostką mógł naprawić wszystkie popełnione grzechy — wybaczano mu. Niktby nie miał nic przeciwko temu, gdyby można było się pogodzić z tym, że w kolektywie są uprzywilejowani.

Dobrze żył tylko z dziewczętami. Do Chany robił oko, do Szyfry się dowalał, z Menuchą flirtował. Do tej uśmiechnął się, tamtą uściśnął; wszystko to robił figlarnie, jakby nigdy nic. Wszystkie dziewczęta lubiły go, każda z osobna nienawidziła go za to, że jest za „pan brat” z wszystkimi i że zanadto umizga się do Chajki, lecz pocieszały się tym, że i jej nawet nie bierze poważnie...

Nikt go właściwie nie znał. Cały dzień był zajęty patronatem kolektywu. W południe przychodził na pół godziny na obiad. W spodniach na kant wyprasowanych i czystym ubraniu nie harmonizował z robotnikami w przetłuszczonych bluzach. Dłużej jak wszyscy wystawał przy kranie i mył ręce, pógwizdując beztrosko. Przy stole zachowywał się jak w restauracji. Układał sobie widelce, łyżkę i nóż, brał szczyptę soli do zupy i dwie szczypty pieprzu, kosztował, medytował i jadł powoli. Jedzenie nigdy mu nie smakowało, zawsze zostawiał dla psa Adolfa.

Abramek widział, że wszyscy są zawsze głodni, jedzą, aż im się uszy trzęsą i nie wiedział, dlaczego on nie je tak samo. Gdyby wziął się do czarnej roboty, możeby i on był tak głodny jak wszyscy. Kolektyw wyznaczał go jednak do delikatnej roboty. Wprawdzie należy on do najwięcej zarabiających w kolektywie, ale nie ma z tego zadowolenia.

Chciał wyrwać się z kolektywu i nie miał sił. Porównywał siebie do człowieka nerwowego, cierpiącego na zęby, który odkłada wyrwanie zęba z dnia na dzień: już ma gotowe plany na przyszłość, ale nie chce odejść, bo i jakże pozostawić tak wszystkich? Niech go kolektyw wydali, usunie, to nie będzie miał wyrzutów sumienia. Jeżeli go wykluczą, nienawidzić zasłoni mu dzień wczorajszy, który obiecywał mu nowe życie...

Pewnego wieczoru wszyscy poszli na wspólną akademię majową robotników żydowskich. Została tylko Chajka. Miała dyżur. Wszystko było sprzątnięte. Trzeba było tylko pilnować mieszkania. Spać nie mogła (na wiosnę mało się śpi), wzięła sobie książkę do czytania.

Każde słowo z osobna rozumiała, ale wszystkie razem — nie. Dlaczego nie zostawiono jeszcze kogoś? Nawet nudzić się jest lepiej we dwoje.

Wtem usłyszała pukanie.

— Kto tam?

— Otwórz!

Chajka poznała głos Abramka. Abramek wszedł zdenerwowany. Nawet nie spojrzał na Chajkę i wszedł do alkierza. Wyniósł swoje walizy, w pokoju stołowym zatrzymał się, zamyslił, czy aby czegoś nie zapomniał. Chajka zapytała zdumiona: dokąd? Dotychczas była jego powiernicą, a teraz — nie?

— Opuszczam kolektyw. Nie mogę tego uczynić w obecności wszystkich. Teraz jest odpowiednia pora do tego — odpowiedział jej Abramek.

Oczy Chajki zaszyły wilgotną mgłą. W tej chwili była tak pociągająca, że Abramek stanął zmieszany.

Poczuł się jakby winnym wobec niej. Szukał słowa, oczy jego błądziły i zatrzymały się na nowych firankach, które Chajka skombinowała. Wziął ją za rękę.

— Ty zostań. Ja nie mogę, ja muszę odejść!

Chajka oprzytomniała. Powoli lecz stanowczo uwolniła się od jego ręki. Przez chwilę była zła: niech już sobie idzie. Ale jego nieporadne milczenie załagodziło jej gniew. Przecież on taki staby, jemu trzeba pomóc, poradzić. Szukała słów, któreby go powstrzymały od tego kroku. Jeżeli już koniecznie chce odejść, to niech sobie zostawi otwartą furtkę, aby mógł jeszcze wrócić.

— Sądzę, — zaczęła, że źle robisz, wykradając się w nocy. Zrób to mądrzej: poproś o urlop. Pojedziesz sobie do domu na kilka tygodni, wypocznesz i wrócisz odświeżony. Zobaczysz, wszyscy się zgodzą. Pamiętaj co ci mówię: nie pal z sobą mostów, masz przed sobą przyszłość, jesteś pracowity, masz

zdolności. tu, pośród nas urośniesz. Posłuchaj mnie, a nie pożałujesz.

Abramek nawet się nie zastanowił nad jej radą. Dniami i nocami myślał nad tym, to też miał w pogotowiu odpowiedź:

— Muszę odejść, bo nie mam wiary, a bez wiary trudno jest siedzieć w kolektywie.

— A w co wierzysz? A w co innego wierzysz? — nastawała Chajka.

Chciała przedłużyć rozmowę aż do powrotu towarzyszy.

Abramkowi trudno było na to odpowiedzieć. Zależał całej tej rozmowy. Nie wypadało mu nie skończyć, więc powiedział:

— Chcę żyć wbrew wszystkim moim wadom. Nie przewiduję pięknej przyszłości. Ale pragnę dnia dzisiejszego. Chcę porzucić całą moją filozofię, aby rozpocząć zwyczajne mieszczańskie życie.

Po wypowiedzeniu tych słów Abramek chciałby od razu je cofnąć. Widział, że w oczach Chajki — ba, w oczach wszystkich chalurowców traci wszystko, spada, stacza się w przepaść. Ale nic nie powiedział. Roześmiał się tylko — tak jakoś głupio i trochę teatralnie.

Chajka nie chciała zdradzić wrażenia, jakie wy-

warły na niej słowa Abramka. Trzymał głowę wyprostowaną, była poważna i tylko dziwiła się tej osobliwej odpowiedzi. Gdyby ona odeszła, wybrałaby sobie inną ideę, a on — nie: on chce płynąć z prądem.

Dzawi się otworzyły. Weszli ozywieni Mendel, Jehuda i Szyfra.

— Daj mi urlop, wyjeżdżam — zwrócił się do Mendla Abramek.

Mendel nie zdziwił się. Wiedział, że to tylko wy-mówka.

— Nie w ten sposób prosisz się o urlop — odpowiedział Mendel surowo. Odstaw swój ekwipunek. Odniesz walizy i zwróć się do zarządu, aby to rozpatrzyć.

— Nie, ja już muszę jechać.

— Dobrze, ale możesz nie wracać.

— Trudno.

Abramek chwycił nerwowo walizy, rozwarł drzwi i znikł.

Mendel zagryził wargi. Wzbogacił się o jeszcze jedno doświadczenie, ale dużo to zdrowia kosztowało.

(D. c. n.)

Zprac konkursowych

Podróż po Europie

— Oto dworzec Friedrichstrasse — rzekł mój współtowarzysz podróży.

I oczom moim ukazał się gmach, składający się z jednej wielkiej hali. U wyjścia rozpościera się sławna Friedrichstrasse. Na niej widzimy wielki ruch kołowy. Tramwaje, dwupiętrowe autobusy, moc aut ciężarowych, prywatnych i taksówek. Nad ulicą znajduje się kolej obwodowa nadziemna, pod ziemią — kolej podziemna.

Oglądamy sławną aleję „Unter den Linden” (Pod Lipami). Ile widziała ta aleja. Pamięta czasy królów i cesarzy. Pamięta świt, dzień i zmierzch Niemiec.

Brama Brandenburska. Na niej sławna Kwadryga. Cztery zatrzymane w pełnym biegu konie chcą się oderwać od kamiennego muru bramy i gonić naprzód w nieskończoność.

Nagle ogarnia nas zieloność. To Tiergarten. Największy park Berlina. Po równych drózkach jadą konno wytworne pary. Zielono i pięknie.

— To miasto — mówi przewodnik — powstało kiedyś z czterech wiosek rybackich, rosło jak powódź i zawsze trąci żywiołem — wspaniałym, bezdusznym żywiołem. To stolica cywilizacji, która dała kanalizację, szczoteczki do zębów, dobre manie-ry, policjanta na rogu, maszyny jak ludzie i ludzie jak maszyny..

*

Jesteśmy w Paryżu. Paryż! Słowo to upaja. Tu każdy czuje się człowiekiem. Paryż ze swoją między narodową atmosferą, jako cicha przystań dla ucisz- nionych wszystkich narodów. Paryż napozór lekko- myślny i beztroski, w istocie pracowity, zdobyw- czy, wiecznie szukający.

Co za ruch i gwar. Jak sprawnie i szybko wymijają się tu setki tysięcy ludzi, znikając w oświetlo- nych reklamami tunelach. I nad wszystkim wznosi się jak nowoczesna Babel, jak symbol dążenia — wieża Eiffla.

Jak wielki jest Paryż! Nawet z tej wieży okiem go objąć nie można. I jest tak piękny, jak dzieło sztuki: im dłużej na niego się patrzy, tym staje się on bliższy i bardziej zrozumiały.

Zwiedzamy Notre Dame de Paris, jakby żyw- cem wyjętą z powieści Hugo. Zdaje się że jeszcze te- raz Quasimodo przemawia pieśczołliwie do swoich dzwonnów. Potwory dzwonnicy są straszne. Wnętrze świątyni — spokojne i majestatyczne.

O katedro! Ile widziałeś rewolucji, pochodów, okresów wstępu i upadku. Nie dziw, że Wiktor Hugo ciebie obrał za temat swej nieśmiertelnej powieści.

Teraz znajdujemy się w Louvrze, w najwięk- szej galerii obrazów w całej Europie.

Oszołomiony nie wiem, na co wpraw mam spoj- rzeć. Tyle piękna i barw. Cicho i przytulnie jak w Notre Dame. Bo to także świątynia.

Nowe cuda. Łuk triumfalny. Tereny wystawy światowej... Sorbona... Wersal. Instytut Pasteura... Wielkie bulwary. Praca i śpiew, wieczna pogoń za radością życia i wieczne tworzenie coraz to nowych wartości sztuki i nauki, miłość ojczyzny i życzliwość dla obcych — tylko tu złączyć się mogły.

— Paryż, najpiękniejsze miasto — rzekłem w zadumie.

— Stolica kultury — zauważył przewodnik — tej kultury, która budzi w nas sumienie, myśl twór- czą i pragnienie wolności..

*

Mgła zasnuwa wybrzeża Albionu. Z ledwością odróżniam kształty i postacie. Znow widzę wielkie miasto. Ruch ten sam co w Paryżu, a może jeszcze

wiekszy. Flegmatycznie gromadzą się ludzie na Downing Street 10, gdzie odbywa się posiedzenie parlamentu, który obradował już wtedy, gdy w Eu- ropie panowała nieograniczona monarchia. Potem w Europie potworzyły się republiki o takiej władzy dyktatorów, jakiej monarchom nigdy się nie śniło, a w Anglii jak przed wiekami zachowany został król bez władzy narówni z innymi zabytkami.

— Anglicy ogromnie szanują tradycję — mówi przewodnik. W ich obyczajach, w prawie, w ustroju zachowało się sporo przeżytków średniowiecza. Ale tę starzyzną oni tak jakoś przerabiają niepostrzeże- nie, że zawsze wypada rozsądnie i wygodnie w zgu- dzie z duchem czasu. To najdziwniejsza, najbardziej charakterystyczna cecha Anglików: w stare formy wlewac nową treść.

Tower, Most nad Tamizą jest podniesiony, bo ma przepłynąć wielki okręt. Być może wiezie on su- rowce dla przemysłu wojennego. Anglia nie jest jesz- cze przygotowana do wojny, więc konferuje, pak- tuje, zwleka z decydującą rozgrywką.

British Museum pozostawia niezatarte wraże- nia. To nie piramidy, skąd patrzą na nas czterdzie- ci wieków. Tu patrzą na ciebie eksponaty z przed se- tek tysięcy lat. Ot chociażby szkielet dinozaurusa, zwierzęcia długości 18 metrów.

Oglądam i myślę:

— Wielki byłeś, dinozaurze i niezwycony. Ale zmienił się klimat — wyginąłeś. Musieli twe szczątki zbierać i po kęsteczce mozolnie ustawiać. Teraz cię ogląda w zdumieniu nowy pan świata — człowiek. Pooudował gmachy postokroć od ciebie większe. Biegnie w maszynach z szybkością, o któ- rej ci się nawet nie śniło, lata jak ptak, pływa jak ryba. Pokonaby tysiąckroć większe od ciebie pot- wory. Siebie samego w końcu człowiek pokona, przewycięży i wtedy dinozaurze, gadzie najwięk- szy, obok ciebie w muzeum stać będą okazy niena- wiści z r. 1938.

*

Biłna, zniszczona Barcelono! Co z ciebie zro- bili!

Byłaś piękna. Błyszczałaś pałacami, rozbrzmie- wałaś pieśnią. A dziś co? Zamiast pałaców — ruiny, zamiast budynków — gruzy, zamiast piosenek — ję- ki ranych i konających. W porcie, w którym zwy- czaj panował ruch handlowy, skrzypiały dźwigi, hu- czwały syreny okrętowe, pakowano i ładowano skrzy- nie pomarańczy, stoją dziś ponure, błyskające lufami armat okręty wojenne. Postrach, groza, zrujnowanie. Codzień jak sępy zlatują się samoloty bombardowe.

Nie mogę patrzeć na ciebie, Barcelono. Odcho- dzę. Chcę ujrzeć cię odrodzoną.

*

Witaj, katedro św. Stefana! Witaj Wiedniu, stolicco b. cesarstwa austriackiego. Widzę cię takim, jakim byłeś przed dwoma miesiącami.

Oto Praer, słynny park na wyspie, tu Riesen- rad. Piękne gmachy teatrów i muzeów, pomniki i studnie na placach, ogrody i zieleńce i wszędzie uśmiechnięte twarze, kawiarenki, świąty i muzyka.

Wiedeń miał najsmaczniejszą wodę, najwytwor- niejsze meble, fabryki najbardziej precyzyjnych nar-zędzi i napiętniejsze walce. Pracowity, pogodny wiedeńczyk nade wszystko cenil dobry humor.

Teraz wiedeńczyk spochmurniał, zamknął się w sobie. Nie rozumie ciężkiego, pruskiego humoru i wo- li masło, niż armatnią oliwę na chlebie.

Nie ma już modrego Dunaju, — płynie brunat- ny Dunaj.

L. DUDELczyk (Łódź).



DO DZIECI SZKOŁY W RÓWNEM

Szałom Raw! Już dawno do was nie pisaliśmy: nie myślcie jednak, żeśmy o was zapomnieli. Jest już po feriach i obecnie mamy dużo pracy.

Chcę wam opowiedzieć, jak spędziliśmy wakacje. Na pierwszy miesiąc wyjechaliśmy do obozu w Safed. Po raz pierwszy w życiu byliśmy tak daleko od domu. Powietrze w Safed jest o wiele zdrowsze niż w „Ajele Haszachar“.

Wszystko tu wygląda zgoła odmiennie niż u nas w kolektywie. Często spacerowaliśmy po ulicach Safedu, oglądaliśmy również stare synagogi. Trudno dostać się do nich, gdyż trzeba przejść przez wąskie uliczki.

W obozie powtarzaliśmy lekcje. Przeszliśmy kurs przysposobienia, aby móc bronić naszego życia i mienia. Po powrocie z obozu zabraliśmy się do pracy przy zbiorach oliwek.

Z początku nowego roku szkolnego przeszło czworo dzieci z freblówki do szkoły. Szkoła rośnie z roku na rok. Wkrótce zaczniemy i my uczniowie 8-go oddziału szkoły pracować w gospodarstwie oraz budować nowe osiedla w Galilei i w innych częściach kraju.

Nasze osiedle przeszło ciężkie próby. Przed dwudziestu laty nikt nie wierzył, że będzie tu szkoła. Była tam nieliczna garstka. Wiele przeszkód pokonano, nim wybudowano to osiedle.

U nas wre praca. Ogrodnik pracuje w ogrodzie, strażnik stoi na swojej placówce, inni robią w polu, w obozie i w warsztatach.

Wasza Amica Horowitz TO BYŁO JEJ ŚWIĘTO.

Przez kilka miesięcy ciałam pieniądze, które dostawałam na słodycze i kina. W dniu święta Matki ja i brat kupiliśmy komplet garnuszków do kuchni. Przy obiedzie położyliśmy paczkę na stole.

Mamusia uśmiechnęła się życzliwie, całowała nas i obejmowała spracowanymi rękami. Cały rok jesteśmy dobrzy dla naszej mamusi, ale w dniu jej święta staraliśmy się jeszcze więcej i wszystko za siebie robiliśmy.

NACIA z Nalewek

O RÓŻNYCH KOLEŻANKACH.

W naszej klasie jest 56 dziewczyn. Są między nimi miłe i niemiłe, sympatyczne i niesympatyczne, wesole i smutne, mądre i mniej mądre, jak na całym świecie.

Naprzykład taka Lonia. Do niedawna wotały na nią dzieci „dama słońcowa“, bo uważały, że ona ma ręce i nogi słońcowe. I w dodatku Lonia mówi powoli, na lekcjach czyta książki.

Jej sąsiadka Hala to mała, nerwowa dziewczynka, która bawi się jeszcze lalkami, opowiada koleżankom głupie historyjki, a o kawałek błyszczącego papieru gotowa się pobić. Kiedy pani wywołuje Halę, ona ma taką minę, że nie wiadomo, czy się uśmiecha, czy chce płakać.

Stasia ma ciemne włosy, szelmowskie oczy, nogi jak kłoce, jest złośliwa, wesola i przebiegła. Ja jej nie lubię, bo może zrobić wielką przykrość. Niedawno nauczyła się brzydkich manier.

Obok mnie siedzi Mania. O Mani mówimy: „nosi okulary i trzęsie się jak stary“. Mania nosi wprawdzie okulary, ale wcale się nie trzęsie. Ostatnio ma manię rysowania pań i główek. Mogłabym jeszcze wiele opowiedzieć o moich koleżankach, ale wiem, że pan redaktor nie wydrukuje tak długiego listu.

LILI z Nowolipek. WIELKA KRZYWDA.

Kiedy Fela pierwszy raz przyszła do naszej szkoły, wybieraliśmy się akurat do kina. Ona nie przyniosła z sobą pieniędzy, a wstydziła się pierwszego dnia prosić, żeby jej dziewczynki pożyczły.

Widząc, w jakiej ona jest sytuacji, sama do niej podeszłam, powiedziała, jak się nazywam i pożyczyłam jej 10 gr. Podziękowała mi serdecznie.

Ponieważ moja para była nieobecna, stanęłam z nią w parze. Po drodze rozmawialiśmy o szkole. Okazało się, że ona mieszka bardzo blisko mnie. Po kinie poszliśmy razem do domu. I znów się okazało, że jej i moja siostra to najlepsze koleżanki.

I tak prawie od pierwszego dnia zostałyśmy przyjaciółkami. Teraz pani nasza zrobiła nam wielką przykrość. Felę zastawia w tej samej szkole, a mnie przeniesie od przyszłego roku do innej. Prosiłyśmy obie i nasi rodzice także prosili, ale nic nie pomogło.

Uważam, że to wielka dla nas krzywda i jestem bardzo zła na panią. SABCIA z Lubckiego. TAJEMNICZY PAN.

Pewnego dnia poszłam z koleżanką do ogrodu. Ponieważ byliśmy zmęczone, usiadłyśmy na wolnej ławce. Mówiliśmy o naszych projektach na lato.

Naraz przeszedł jeden pan w kurtce. Był czarny jak diabeł, czapka nasunięta na oczy, a w rękach moc pakunków. Przypatrywał mi się długo i uważnie.

Koleżanka parsknęła śmiechem. — Podobasz się temu panu — powiedziała.

Kiedy ten pan usiadł na naszej ławce, wzięłyśmy nogi za pas, a tajemniczy pan za nami. Przestraszyliśmy się nie na żarty. Nagle ów pan wziął mnie

za rękę i wykrzyknął radośnie: — Tosiu, Tosieńko! I dopiero wtedy poznałam, że to nie żaden zły człowiek, tylko mój wujaszek.

Wujaszek przyjechał z Kazimierza, a był tak opalony, że go nie poznałam. Opowiedział, że idzie prosto z dworca, a że jest zmęczony, wstąpił do parku.

Ciekawie spoglądałam na liczne pakunki. Wujaszek uśmiechnął się tajemniczo.

Wsiadliśmy do dorożki. W domu okazało się, że w pakunkach znajdowały się: piłka, parasolka, rzeźby z Kazimierza i t. p. pamiątki.

Była to bardzo wesola przygoda. TOSIA M. MOJE LALKI.

Miałam dwie lalki. Jedna nazywała się Anielka, druga Hania. Raz mama zaniósła je do piwnicy. Ja o tym długo nie wiedziałam.

Po pewnym czasie mama i nasza pracownica poszły do piwnicy, aby tam zrobić porządek. Zobaczyły, że lalki są brudne i zakurzone. Wtedy mama przyniosła je do domu. W domu mama wzięła wilgotną ściereczkę i wytarła kurz.

Potem dostałam od mamy różnokolorowe galanki, a nasza pracownica uszyła moim lalkom jedwabne sukienki. Anielka miała zieloną suknię, a Hania czerwoną. Hania dostała czerwoną czapkę zrobioną z wełny, a Anielka czapkę z materiału. Ja zaś zrobiłam im płaszcz i spódnice.

I tak lalki mają coraz więcej ubrań. W wolnych chwilach bawię się z lalkami jeszcze chętniej niż wtedy, gdy miałam cztery lata. TANIA z Gdyni.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE REDAKTORA.

Za list wydrukowany w Małym Przeglądzie z dnia 22.IV bardzo dziękuję.

Za przeoczenie mojego nazwiska pan redaktor chciał mi przysłać na osłodę - czekoladę i zapytał, jaką lubię: jasną z orzeszkami czy pienkową?

Ja każdą czekoladę bardzo lubię, ale może będzie lepiej, jeżeli pan redaktor przeznaczoną dla mnie tabliczkę odda dziecku, które ma rodziców bezrobotnych.

Na lato jadę do sanatorium im. Medema w Miedzeszynie, a po powrocie napiszę, jak tam było. Kłaniam się pięknie OLGA z Krakowa. KOMISJA SZKOLNA.

Jestem w I oddziale. W naszej klasie jest dużo niedobrych uczniów, tylko ósemka dobrze się uczy. Ja zaliczam się do tej dobrej ósemki. Nasza pani lubi straszyć. Raz powiedziała nam, że przyjdą do nas goście i kazala się nauczyć dobrze czytać, pisać i rachować.

Z początku nie chciało mi się wierzyć, bo myślałam, że pani nas tylko straszy. Rano, jak weszliśmy do klas, pani już była. Po dzwonku wszedł pan kierownik, a za nim troje ludzi.

Nazajutrz pani powiedziała, że jest z nas bardzo zadowolona. Marek z Pawiej. DRZEMKA STEFCI.

Na nasz balkon wychodzi okno z mieszkania mojej koleżanki Stefci. Stefcia została sama w domu i zamknawszy mieszkanie na klucz, zapała lalką drzemkę. Matka jej wróciwszy z miasta, nie mogła się dostać do mieszkania. Zaczęła stukać do drzwi początkowo cicho, potem coraz



ROZRYWKI UMYSLOWE. XI-TY TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU“ ROZWIĄZANIE ZADANIA TURNIEJOWEGO Nr. 4.

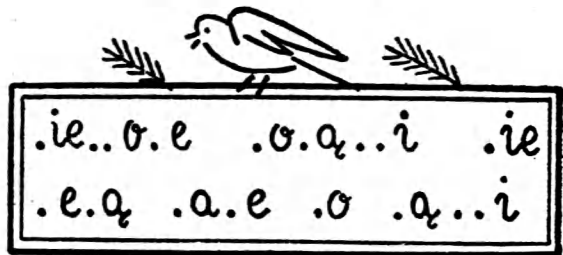
- 1) Hanna 2) Manna 3) Panna 4) Sanna 5) Wanna.

ROZWIĄZANIE ZADANIA TURNIEJOWEGO Nr. 5.

Grid puzzle with numbers: 19 8 3 4 25; 2 13 18 9 4; 7 20 1 24 15; 12 17 22 5 10; 21 6 11 16 23

Rozwiązanie brzmi: „Każda liszka swój ogon chwali“.

KRYPTOGRAM.



W miejscu kropek należy wstawić spółgłoski w ten sposób, by powstało znane przysłowie.

głośniej, aż stęk zamienił się w łomot, a Stefcia — ani rusz.

Na hałas ten zbiegli się sąsiedzi i zaczęła się narada. Jedna sąsiadka mówi:

— Może gaz się ulatnia i dlatego Stefcia się nie budzi?

Inna znów dodaje:

— Nie ma rady, trzeba wybić szybę, a jeżeli i to nie pomoże, to trzeba sprowadzić ślusarza.

Na to matka Stefci, której szkoda było szyby:

— Sprobujemy jeszcze raz zastukać.

Więc zaczyna się jak na komendę walenie pięściami w drzwi i bębnienie palcami w szybę, a Stefcia chrapie i chrapie coraz głośniej.

Dozorca wybiegł z mieszkania i ryczy na całe podwórko:

— Co tam znów za hałas?

Akurat nadszedł mój tatuś, a widząc, co się dzieje, wskoczył na kufer, chcąc wyjąć szybę. Z wszystkich stron zaczęli przynosić różne pomocnicze narzędzia jak: sznurki, druty, pogrzebaczce, tasak i t. p. ale szyby nie udało się wyjąć. Wrzucono więc przez okno pręt. Rozbiła się stojąca tam szklanka mleka i Stefcia, otrzymawszy mleczny prysznic, otworzyła naręcznie jedno oko, a później zdecydowała się stworzyć drugie oko. I zapytała ze zdziwieniem:

— Co się stało?

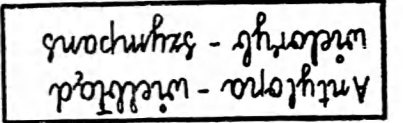
Gdy wszyscy rozeszli się do swoich mieszkań, Stefcia jeszcze nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje i co z nią się stało.

Szymonek z Prostej.

PO RAZ PIERWSZY.

Do Małego Przeglądu napisali: Gliksman Ryszard. — Jakobson Halinka. — Lederman Saba. — Migdałówna Estera. — Milman Mietek. — Rozenblum Sara. — Rubinlicht L.

ROZWIĄZANIE ZADANIA TURNIEJOWEGO Nr. 6.



ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 7.

Za rozwiązanie 1 punkt. ZAGADKA. Wprost — to bóg jest w greckim micie, Wspak zaś — port i kanał w Egipcie.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 8.

Za rozwiązanie 3 punkty. FIGELEK MATEMATYCZNY.

W ten sposób należy ułożyć cyfry: 1, 2, 3, 4 i 5, aby przy pomocy działań arytmetycznych (dodawania i odejmowania) otrzymać wyniki: 111, 222 i 333.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 9.

Za rozwiązanie 4 punkty.

— Rubinsztejn Mosze. — Rudy Berta. — Sliwka Gusia. — Sklar Ruta. Listów otrzymaliśmy z Warszawy 20, z prowincji 35, razem 55.

Ryszard Gliksman i S. Szpigelman proszeni są o porozumienie się z redaktorem w niedzielę dn. 29-go maja o godz. 4 (Nowolipki 7).

ZARTY. MOTORYZACJA.

W wielkim salonie samochodowym dzwoni telefon. Sprzedawca zdejmuje słuchawkę.

— Hallo — słyszy głos w aparacie — w zeszłym tygodniu kupiłem u was sportowy kabriolet. Przypomni na pan sobie?

— Tak jest, proszę pana, przypominał sobie. Czym mogę służyć?

— Firma wasza zagwarantowała mi bezpłatną zamianę złamanych części.

— Oczywiście. Proszę wymienić, co panu potrzeba.

— Potrzeba mi nowej prawej ręki, dwóch zębów i trzech przednich zębów. Proszę mi to przysłać zaraz do domu!

MILE PRZYJĘCIE.

Jasio poszedł z wizytą do szkolnego kolegi.

— No, jak cię tam przyjęto? — pyta go po powrocie matka. — Czyś aby przyszedł tam w porę?

— O, tak — odpowiada Jasio — Mamusia kolegi otworzyła mi drzwi i powiedziała:

— Kogo ja widzę? Jasio? Jeszcze ciebie nam tutaj brakowało!

DOBRA NIANKA.

— Ależ, nianiu, przed kąpieniem dziecka trzeba zawsze kłaść termometr do wody!

— Mnie tam termometr niepotrzebny, proszę pani. Jak dziecko się robi czerwone, to znaczy, że woda jest za gorąca, a jak sine — że za zimna.